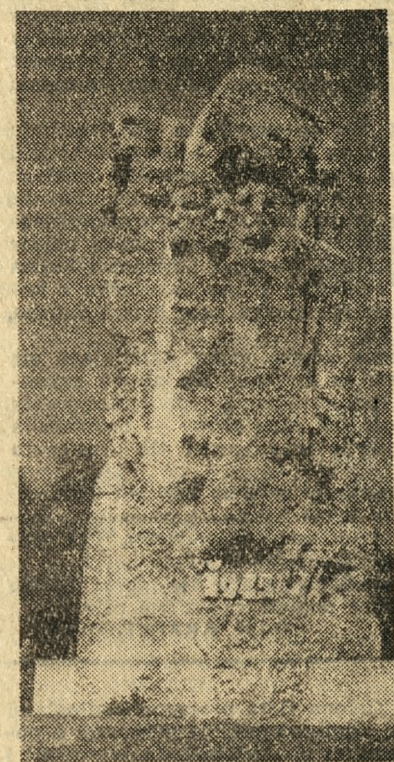


Adam Krzepakowski

Zbrodnia ma na imię Stutthof



Na terenie byłego hitlerowskiego obozu zagłady w Stutthofie, w którym zginęło 85 tys. ludzi, stanął imponujący pomnik. Jego autorem jest art. rzeźbiarz Wiktor Tolkin. Uroczystość odsłonięcia pomnika odbędzie się 12 bm. podczas wielkiego zlotu.

CAF — Fot. Grabowiecki

W 23 rocznicę wyzwolenia hitlerowskiego obozu śmierci w Stutthofie zostanie odsłonięty monumentalny pomnik ku czci ofiar faszystowskiego ludobójstwa. W kilka dni później muzeum Stutthof zorganizuje sympozjum naukowe. Podstawą wygłoszonych referatów będą najnowsze wyniki badań prowadzonych przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Gdańsku. Równocześnie uzupełniana jest kartoteka SS-mańskiej załogi obozu, zbierane nowe dokumenty, zeznania świadków. W tej liczbie wiele materiałów pochodzi z archiwów i od świadków z ZSRR. Ostatnio, zwłaszcza w ub. roku, nastąpiło znaczne ożywienie zainteresowania naukowców gdańskich problematyką zbrodni hitlerowskich. Świadczy o tym tematyka podjętych prac magisterskich na Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku: katedra doc. dr. St. Drewniak: „Obóz kobiecy w KZ Stutthof”, „Struktura organizacyjna KZ Stutthof”, „Działalność szpitala na terenie KZ Stutthof”; na katedrze doc. dr. J. Danielewicz: prace magisterskie dotyczą „Zbrodni hitlerowskich popełnionych na terenie Gdańska” oraz „Zbrodni hitlerowskich, popełnionych na terenie powiatu wejherowskiego”. Przedmiotem prac doktorskich mgr. Józefa Matyni i mgr. Marii Chyły są podobozы Stutthofu, dotychczas niezupełnie zbadane.

Wszystkie te prace, których tu wymieniliśmy tylko kilka, oraz obszerna, starannie opracowana analityczna praca dochodzeniowo-śledcza Czesława Bartłomiejczyka rzucają nowe światło na program ludobójstwa hitlerowskiego.

„Medaliony” — pierwszym pomnikiem polskiego sumienia

Polska była już wolna. Nad Berlinem powiewały sztandary radziecki i polski, a tu, w Stutthofie, istniała katownia hitlerowska aż do 9 maja 1945 roku! Ten obóz zagłady istniał na ziemiach polskich najdłużej!

Wojska radzieckie, które 9 maja 1945 r. wyzwoliły obóz, zastały tu 385 osób rannych i chorych, w tym 211 Rosjan i Polaków oraz 174 Francuzów w oddzielnym pomieszczeniu. 32 osoby były chore na tyfus plamisty. Poza tym w stanie znacznego wyczerpania znajdowało się tutaj około 20.000 więźniów, przeważnie obywateli radzieckich, Francuzów, Holendrów, Belgów i innych, przybyłych tu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Obóz Stutthof odkrył prócz tego jeszcze jedną tajemnicę hitlerowskiego ludobójstwa. Oto zwłoki pomordowanych, nie wycieńczonych jeszcze pracą więźniów, z obozu dostarczano do instytutu anatomii patologicznej w Gdańsku, gdzie profesor Rudolf Spanner zajmował się eksperymentalnym fabrykowaniem mydła z ludzkiego tłuszczu. Była to jedyna fabryka tego rodzaju, jaką zna historia świata. To mogli wymyśleć tylko hitlerowcy, sięgający szczytów obiedu w swym dziele ludobójstwa. W ich przypadku zresztą nie był to obied, nie było to schorzenie — lecz trwały, patologiczny stan całych grup społecznych.

To straszliwe laboratorium wraz z grupą pisarzy i naukowców zagranicznych zaraz po wyzwoleniu zwiedzała Zofia Nałkowska, znakomita pisarka polska, która tak opisała je w „Medalionach”:

„Naprzód zeszliśmy do rozległej, ciemnej piwnicy. W pochyłym świetle, idącym od dalekich, wysoko umieszczonych okien, umarli leżeli jak wczoraj. Ich ciała, nagie, białe-kremowe, młode, podobne do twardych rzeźb, były w doskonałym stanie, mimo, że czekały tu już od szeregu miesięcy na chwilę, w której przestaną być potrzebne. (...)”

(...) Mijałoby jeden za drugim baseny pełne trupów, a obaj cudzoziemscy panowie szli także i także patrzyli. Byli lekarzami i lepiej od nas rozumieli, co to znaczy. Na potrzeby instytutu anatomicznego przy uniwersytecie wystarczyłby zapas czterdziestu trupów. A tu było ich trzysta pięćdziesiąt. (...)”

(...) Poza tym w podziemiach obejrzelśmy jeszcze parę basenów pustych, zaledwie wykończonych, bez pokryw. Oznaczały, że zapas trupów potrzebnych żyjącym był niedostateczny, że istniał zamiar powiększenia całej imprezy. (...)”

(...) Później z obu profesorami przeszliśmy do czerwonego domku i tam widzieliśmy w wybiegłym palenisku ogromny kocioł, pełen ciemnej cieczy. Ktoś obity z terenu uchylił pokrywę i pogrzebaczem wyciągnął na wierzch ociekający płynem, wygotowany tors człowieka, obdarty ze skóry.

W dwóch innych kotłach, nie było nic. Ale w pobliżu, na półkach oszklonej szafy, leżały rzędem wygotowane czaszki i piszczele.

Widzieliśmy też skrzynie, a w niej ułożone warstwy — oczyszczone z tłuszczu, spreparowane cienko płaty skóry ludzkiej. Na półce stoją słoje z sodą kaustyczną, przy ścianie wmontowany w mur kocioł z zaprawą i duży piec do spalania odpadków i kości.

Wreszcie, na wysokim stole kawałki mydła białego, chropowatego i parę metalowych, powalanych zeschłym mydłem foremek.”

Tak było. Taki widok zastała grupa operacyjna, która przybyła do Gdańska zaraz po wyzwoleniu obozu.

Program wcześniejszy od wojny

Data powstania obozu zagłady w Stutthofie podawana jest na ogół zgodnie: 1 września 1939 roku. Formalnie biorąc, można by ją przyjąć, gdyż tego właśnie dnia rozpoczął swój marsz ku śmierci pierwszy transport więźniów, składający się z Polaków, zaarrestowanych w Gdańsku. Dotychczas nie został odnaleziony dokument, przesuwający tę datę nieco wstecz, jest jednak rzeczą niewątpliwą, że przybyli do Stutthofu pierwsi więźniowie zastali już na miejscu niewielką, powstałą z wykarczowania lasu polane, prowizoryczny barak i kilka namiotów, a wszystko razem okolonie drutem kolczastym.

Zamysł stworzenia w tym odludnym miejscu Mierzei Wiślanej wielkiego obozu koncentracyjnego musiały być więc podjęte wcześniej — w każdym razie jeszcze przed 1 września 1939 roku. O zamysłach tych

Dokończenie na str. 2

ZIELONA GÓRA BEZ KOMPLEKSÓW

Przez Park Tysiąclecia idzie gwarna, granatowa, połykająca odprasowaną satyną gromada dzieci z piątej, może szóstej klasy. Jeden z chłopców przystaje, rozgląda się dokoła, potem wbiega na trawnik, zrywa kwiaty mleczu i wręcza wiotki, słoneczny bukiet koleżance z mysimi warkoczkami — zupełnie jak z obrazka w elementarzu. Jest w tym geście naturalny, nienasładowany wdzięk, ujmująca powaga. Chłopiec na pewno nie zna wyrafinowanej symboliki barw, liczb i kształtu kielichów, nie pragnie przemienić mleczu w siedem czerwonych róż, kwiaty to po prostu kwiaty na takie go stać, w jego wieku one wyrażają przyjaźń równie dobrze jak przystrojone wstążki i asparagusem drogie wiazanki.

Kilkakrotnie z ust różnych ludzi w Zielonej Górze słyszałem zwrot „eksplozja entuzjazmu”. Raz określenie to odnosiło się do Drezdenka, innym razem do leśniczego Witolda Stadnika z Lubniewic aż wreszcie użyte zostało w stosunku do wszystkich mieszkańców regionu.

— Lepiej było pojechać do Drezdenka, w Zielonej Górze trudno znać coś ciekawego — powiedzieli mi koledzy z „Gazety Zielonogórskiej”, do których wybrałem się prosto z dworca. — Drezdenko wywalczyło sobie tytuł mistrza gospodarności, tam tematy na ulicy leżą. Ale za późno — stad gorszą komunikacją niż z Poznania.

Teraz, w drodze do Prezydium, sklejam w myśli strzępy wrażeń i rozmów z poprzedniego dnia. Więc: ciasne, małe centrum wokół ratusza,

średniowiecznie wąskie uliczki. Taką Zieloną Górę pamiętają publicyści z NRF i dlatego atakujący dwutygodnik „Nadodrzie” — redakcję umiejscawiają we Wrocławiu. W głowie im się nie mieści, że partycularne miasteczko wydaje własne pismo społeczno-kulturalne. Cóż, nie wieli Osiedla Piastowskiego ani osiedli Wazów I, Wazów II i Wazów III. Ale przecież z roczników statystycznych wynika, że od dni, w

ciwległy — nogi trochę ustają i pragnie się towarzystwa. Tak poznałem Mirkę z ulicy Krótkiej, poznałem z urodzenia, a zielonogórzanek z przekonania. Wracała z zajęć w wieczorowej pomaturnej szkole ekonomicznej. Ma 23 lata i pracuje w księgowości.

Chciałem przekornie rozbudzić w niej tęsknotę za Poznaniem, mówiąc o Zielonej Górze lekceważąco, że dziura, że nudno. Mirka nie dała się przekonać. Uprzejmie przyjmowała przesadzone (sam o tym wiem

Wojciech Burlowy

Eksplzja entuzjazmu

których opuszczali to miasteczko, potroili się liczba jego mieszkańców. Panowie publicyści z NRF zapewne tak niewygodnej statystyce wiary nie dają. Nie zauważyłem, aby w Zielonej Górze ktoś się nimi przejmował. Raczej przejmują się tym, że już nie sposób pomieścić się wokół ratusza i budują nowe centrum. W rejonie dawniej nie istniejącej ulicy Bohaterów Westerplatte wyburzy się w tym roku około 80 starych domów, a na ich miejscu staną gmachy, jakich nie powstydziłoby się miasto półmilionowe.

Z hotelu „Śródmiejskiego” na razie wszędzie blisko, nie trzeba korzystać z autobusów. Lecz, gdy idzie się z jednego krańca miasta na prze-

najlepiej) pochwały Poznania, zgodziła się, że Zielona Góra to nie me tropolia, ale z rzeczowym umiarem wymieniała jej zalety i kategorycznie stwierdziła, że czuje się tu zupełnie dobrze. „Wie pan — wkrótce dostanę dwupokojowe mieszkanie, mam pracę, którą lubię, mogę się uczyć. Tu przeżyłam więcej niż 22 lata, a to że się w Poznaniu urodziłam — o niczym nie świadczy, skoro przywiązałam się do Zielonej Góry.

— To u was dają samotnym osobom dwupokojowe mieszkania? — pytam naiwnie.

— Samotnym nie, ale jest Zbyszek — odpowiada Mirka z momentem wahania. Widzi pan — on uro-

Mieczysław Skąpski

DLA KOGO UCZELNIA?

Tuż po wojnie sprawa była jasna. Stanęliśmy przed koniecznością zasadniczego podniesienia poziomu kulturalnego społeczeństwa, a główną drogą do tego celu była powszechność oświaty. Szybko uporaliśmy się z analfabetyzmem, wprowadziliśmy obowiązkowe nauczanie całej młodzieży w zakresie szkoły podstawowej, otworzyliśmy szeroko bramy szkół średnich i wyższych dla młodzieży wszystkich klas i warstw społecznych, preferując wszędzie młodzież robotniczą i chłopską, jako przedstawicieli klas przed wojną szczególnie upośledzonych, dla których wprowadzenie dziecka na wyższą uczelnię było z reguły sennym marzeniem.

Sprawa była jasna, jej realizacja też nie nasuwała większych wątpliwości. Skąd więc w dwadzieścia parę lat po wojnie hasło „więcej młodzieży robotniczo-chłopskiej na wyższe uczelnie”, skąd aktualność tego hasła?

Hasło nie pojawiło się przypadkowo. Od lat zwracano uwagę na systematycznie malejący udział dzieci robotników i chłopów wśród studentów. Próbowano poprawić wskaźniki, stosując tzw. punkty dodatkowe za pochodzenie przy egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie. Wielu protestowało przeciw tym punktom twierdząc, że to dyskryminacja dzieci inteligentnych. A i tak punktów niewiele pomogło. Udział młodzieży inteligentnej rósł nadal. W roku akademickim 1965/66 na wszystkich uczelniach kraju młodzież pochodząca z robotniczego środowiska stanowiła 27 proc., chłopskiego 17 proc., a inteligentnego i rzemieślniczego 56 proc. Trzeba więc tu od razu przypomnieć, że to właśnie klasa robotnicza jest najliczniejsza i stanowi 42 proc. ogółu ludności, chłopów 22 proc., a pracowników umysłowi, rzemieślnicy i inni — 36 proc.

Największy udział inteligencji

Zagłębmy się nieco w liczby. One są bowiem najbardziej wymowne. Oto na uczelniach technicznych całego kraju w tymże roku 65/66 synowie robotników stanowili 28,3 proc. braci akademickiej, na uniwersytetach — 26,7 proc., w szkołach ekonomicznych — 31,8 proc., w akademiach medycznych — 27,5 proc.

Oczywiście nikt nie twierdzi, że procent studentów danego pochodzenia powinien ściśle odpowiadać udziałowi danej klasy czy warstwy w narodzie. Ani to jest możliwe, ani potrzebne. Obecne dysproporcje są jednakże oczywiście rażące.

Wzemy dane z dwóch największych i najważniejszych poznańskich uczelni: z Uniwersytetu i Politechniki. Zajmiemy się jedynie typem studiów stacjonarnych. Otóż studenci pochodzenia robotniczego stanowili na UAM w latach 57/58 — 28,3

proc., 58/59 — 25,4 proc., 59/60 — 23,9, 60/61 — 26,1, 61/62 — 28,8, 62/63 — 27,6, 63/64 — 26,8, 64/65 — 25,2, 65/66 — 26,5, 66/67 — 24, 67/68 — 24. Tak więc, pomimo pewnych wahań, tendencja jest wyraźna; jest to tendencja spadkowa. Charakterystyczne, że największy spadek obserwujemy w ostatnich latach, gdy zastosowano... punkty dodatkowe za pochodzenie.

Zobaczymy teraz jak wyglądał w tych samych latach udział młodzieży pochodzenia chłopskiego. Podajemy tylko procenty, w tej samej kolejności: 13,2 — 13,8 — 15,3 — 14,6 — 12,2 — 12 — 12,4 — 11,8 — 9,5 — 8,8 — 9. W całej dekadzie mamy na początku wzrost, a potem już stały spadek.

Odwrotnie jest wśród inteligencji, której dzieci na początku dekady stanowią 51 proc., potem procentów nieco spada, z kolei znowu przez kilka lat rośnie, by w ostatnich latach zanotować dynamiczny wzrost do 59 proc. w roku bieżącym. Udział dzieci pochodzenia rzemieślniczego podniósł się z 7 do 7,2 proc. a „inni” z 0,5 do 0,8 proc. Tu podaliśmy liczby obrazujące początek i koniec dekady.

Przechodzimy do Politechniki Poznańskiej. Liczby dotyczą prawie tego samego okresu, co poprzednie odnoszące się do UAM od roku akademickiego 1958 do 1967. Udział dzieci robotników w tym czasie stanowił: 27,2 — 27,9 — 26,1 — 24,9 — 24,7 — 24 — 25,1 — 24,6 — 25,5 — 24,2. Warto 25,1 — 24,6 — 25,5 — 24,2. Warto zwrócić uwagę, że obecnie procent dzieci robotniczych na Politechnice jest już prawie ten sam co na Uniwersytecie. W obu wypadkach jest to poniżej średnich krajowych dla tego typu uczelni, ale szczególnie rzuca się tu w oczy skład socjalny studentów Politechniki, gdzie z natury rzeczy, ze względu na charakter studiów (klasa robotnicza pracuje w przemyśle, w technice) powinno być najwięcej dzieci robotników. Młodzież chłopska na PP stanowiła w tym czasie: 19,8 proc. — 19 — 18,6 — 20 — 19,4 — 18,4 — 15,7, — 14,7 — 14,9 — 12,2. Spadek jest w tej grupie dość systematyczny. Równie systematyczny jest także wzrost udziału młodzieży inteligentnej, od 45,7 proc. do 57 proc. Liczba dzieci rzemieślników spada z 6,1 proc. do 4,8 proc., „inni” podnieśli udział z 1,2 do 1,8 proc.

Przykład dwóch najważniejszych uczelni poznańskich wskazuje, że w Poznaniu sytuacja jest gorsza niż średnie krajowe, choć daleko nie tak zła jak na tego samego typu uczelniach warszawskich. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę, by szybko i energicznie przystąpić do naprawy.

Program naprawy pilnie potrzebny

Nie jest to jednak sprawa prosta. Niewiele da się tu zrobić doraźnie. Sek bowiem w tym, że już w szkołach średnich procent młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego jest o wiele za niski, zwłaszcza zaś w liceach ogólnokształcących będących główną bazą rekrutacyjną na studia wyższe (w tych ostatnich w roku szkolnym 65/66 młodzieży robotniczo-chłopskiej było w całym kraju 46,4 proc., w średnich szkołach zawodowych natomiast — 62 proc.). Absolwenci średnich szkół zawodowych idą przeważnie do pracy, ci zaś którzy zgłaszają się na studia często odpadają są bowiem gorzej przygotowani do egzaminu wstępnego. Maturzyści pochodzenia robotniczo-chłopskiego garną się w ogóle do pracy, by ewentualnie potem dopiero, po paru latach, przystąpić do studiów zaocznych, kosztem ogromnego wysiłku. W najgorszej sytuacji jest oczywiście młodzież chłopska, z reguły gorzej przygotowana, mająca utrudniony z tego powodu start już do szkoły średniej i potem także do wyższej, uzależniona od otrzymania miejsca w domu studenckim bardziej niż inne grupy społeczne, nie mająca codziennego obycia z książką, telewizorem, z intelektualną atmosferą domową jak dziecko inteligentne.

Oczywiście, można od razu sytuację nieco poprawić. Proponuje się więc, aby tzw. miejsca odwoławcze w liczbie 10 proc. limitu przeznaczyć jedynie do załatwiania odwołań młodzieży robotniczej i chłopskiej, aby wprowadzić całkowitą anonimowość egzaminów. Są to jednak tylko półśrodki. Potrzebna jest natomiast długofalowa polityka, która zapewni lepszy start młodzieży robotniczej i chłopskiej już do szkół średnich, która zapewni równość szans życiowych całej młodzieży polskiej. Bo choć formalnie równość taka istnieje, to jak widzimy w rzeczywistości do równości daleko.

Dokończenie na str. 2

GDY PATRIOTYZM BYŁ PRZESTĘPSTWEM

Pamięci pomordowanych obywateli Łagiewnik i okolicy

Tę wsi już nie ma na mapie, podobnie jak czterech innych w jej okolicy. Nie ma też wśród żywych wielu mieszkańców tych podpoznańskich wiosek, zgilotynowanych lub zamęczonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych w pierwszych latach okupacji hitlerowskiej. Zostali skazani wyrokiem Sądu Specjalnego w Poznaniu na posiedzeniu 17 i 18 stycznia 1940 roku.

„Zbrodnia” oskarżonych, uznana przez hitlerowskich sędziów za szczególnie ciężką, przeciwko narodowi niemieckiemu, polegała na tym, że 2 września 1939 r., a więc w drugim dniu inwazji hitlerowskiej na Polskę, schwytali oni dwóch niemieckich lotników z bombowca Heinkel -111, zestrzelonego przez polskiego pilota Włodzimierza Gedymina. Dwa hitlerowscy lotnicy — Haekl i Pruegel ocalili, skacząc na spadochronach. Schwytali ich mieszkańcy wymienionych wyżej wiosek i po udzieleniu pierwszej pomocy od dali w ręce władz polskich. Odwieziono ich do Poznania.

Niemcy jeszcze w końcu września 1939 r. rozpoczęli masowe aresztowania wśród ludności Łagiewnik, Glin na, Glinienka, Moraska i Suchego Lasu. Uwięziono wtedy 22 osoby. Aresztowanych traktowano brutalnie, nieludzko bito, pędząc pieszo przed motorami po kilka kilometrów na posterunek policji niemieckiej w Piątkowie. Dwie kobiety — Kujawina i Zawadzka widziały jak na podwórzu Niemca Germandego katowano jednego z aresztowanych — Jana Maciejewskiego z Glinna.

Opowiadali: „Kiedy skatowany Polak stracił przytomność, to wówczas wzięto go pod pompę i pompując mu wodę na głowę „myli” twarz ryżową szczytką do szorowania podłóg i jeszcze więcej go pokrawiali...”

Rodziny aresztowanych czyniły bezskuteczne starania o ich uwolnienie. Bratu jednego z zatrzymanych — Władysławowi Łuczakowi powiedziano, że jak zbierze podpisy 10 Niemców, to Bronisława Łuczaka uwolnią. Opowiadał potem:

„Chodziliśmy więc od Niemca do Niemca i błagaliśmy go o podpis, ale żaden nie chciał postawić swego nazwiska przed podpisem niemieckiego soltysa Meissnera. A ten, gdy do niego poszliśmy, powiedział że gdyby miał podpisać wyrok śmierci, to wcale by się nie zastanawiał, ale prośby o uwolnienie Polaka nie podpisał. Powiedział jeszcze, że najchętniej podpisałby, żeby wszystkich Polaków rozstrzelali. Wobec takiego stanowiska soltysa, żaden inny Niemiec podpisać nam nie chciał”.

18 stycznia 1940 r. orzeczono wyrok „In namen des Deutschen Volkes”. Niesłychanie tendencyjnie interpretowane przez skład sędziowski zeznania świadków oskarżenia — tych samych dwóch niemieckich lotników, których we wrześniu 1939 stracił W. Gedymin — jak wskazuje na to 15-stronicowe uzasadnienie wyroku — było podstawą orzeczenia niezwykle surowych kar. Oskarżonych pozbawiono możliwości jakiegokolwiek obrony, a jeden z nich stracił życie na skutek katowania w więzieniu, przyznawał się

do wszystkich zarzucanych mu czynów.

Na 22 sądzone osoby 8 otrzymało wyrok śmierci, wśród nich trzy kobiety, mieszkanki Łagiewnik: 23-letnia wdowa Marta Buszka z domu Bomke, matka dwojga nieletnich dzieci, wdowa Pelagia Dobrzycka, z domu Jeżewska, 28-letnia robotnica, matka dwuletniego chłopca, 47-letnia żona robotnika rolnego Józefa Ratajczak, z domu Westfal, matka 5 córek. Poza nimi kary śmierci otrzymali: Władysław Cichoszewski z Moraska, 28-letni robotnik rolny, żonaty, Bronisław Łuczak z Suchego Lasu, 29-letni robotnik kamieniarski, ojciec dwojga małych dzieci, Jan Lipiński z Łagiewnik, 25-letni robotnik rolny, żonaty, Jan Maciejewski z



Tak wyglądał w 1939 r. lotnik polski Włodzimierz Gedymin, który stracił niemiecki bombowiec. Obecnie pracuje na lotnisku cywilnym w Warszawie. Został zaproszony na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci pomordowanych w Łagiewnikach.

(zdjęcie archiwalne — reprodukcja)

Glinna, 28-letni syn gospodarza, kawaler i 38-letni kupiec z Moraska — Józef Wróblewski.

Natomiast 19-letni dekarz Edmund Dąbert z Łagiewnik i 18-letni uczeń kowalski Mieczysław Klupsch z Moraska zostali skazani na 15 lat ciężkiego więzienia każdy i na 10 lat utraty praw honorowych. Stanisław Rok, 32-letni robotnik rolny z Łagiewnik, ojciec trojga dzieci i 24-letni Jan Engler z Glinienka, również robotnik rolny, zasądzeni zostali na 10 lat ciężkiego więzienia i 10 lat utraty praw honorowych. 22-letniego ucznia tokarskiego Stanisława Persa z Moraska skazano na 5 lat ciężkich robót, Kazimierza Miśkowskiego, 19-letniego syna rolnika z Glinienka na 3 lata więzienia i 5 lat utraty praw honorowych. Wyrok trzech młodzieńców więzienia otrzymał 14-letni wówczas chłopak Czesław Bystrowski z Glinna. On tylko dotychczas żyje, bo większość z siedmiu uniewinnionych wówczas osób, aresztowano później pod różnymi pretekstami i zamęczono w więzieniach lub obozach.

Wyroki śmierci wykonano. Niektórzy czekali parę miesięcy, ale większość skazanych stracono już w marcu 1940 r. Nie pomogły żadne

apelacje i starania rodzin. Pelagie Dobrzycką i Martę Buszkę zgilotynowano w więzieniu berlińskim. Widzieliśmy oryginały ich listów przedśmiertnych. Pozostali skazani nie wytrzymali długo gehenny więzień we Wronkach, Rawiczu, Koronowie, czy obozów w Niemczech. Umierali dziwnym trafem na ataki serca, niewydolność układu krążenia...

Widzieliśmy korespondencję Jana Roka, nadsyłaną z różnych więzień i obozów. Przeżył chyba najdłużej, bo do 3 kwietnia 1943 r. Pisał krótkie pocztówki z Rawicza, z obozu w Neustrum Lathem — Ems przy granicy holenderskiej z Muelheim (Zagłębie Ruhry), z Ham w Westfalii, z Mauthausen — Gusen. Jeszcze w marcu 1943 r. pisał, że czuje się dobrze; w kwietniu żona Roka otrzymała zawiadomienie, że mąż zmarł na niewydolność układu krążenia.

Skazany na 3 lata więzienia Kazimierz Miśkowski musiał umrzeć w Koronowie na pół roku przed zakończeniem kary. Tuż przed jego śmiercią siostra Miśkowskiego-Marta Pers uzyskała zgodę na odwiedzin, był już bardzo wycieńczony i nie mógł nic jeść.

Pamięci polskich patriotów z podpoznańskich wsi zostanie tej niedzieli odsłonięty pomnik. Na tablicy są wyryte nazwiska straconych i za męczonych w więzieniach i obozach hitlerowskich. Przy pomniku w nieistniejącej już wsi Łagiewniki zbiorą się rodziny pomordowanych, rozsiądą po różnych kątach naszego województwa, a nawet kraju. Niech słowa przypomnienia nie ranią im serc. Czynimy to, by współczesne pokolenie młodych Polaków wiedziało o ich męczeństwie i brało wzór z życia patriotów wyrosłych na poznańskiej ziemi.

P. S. Autorka dziękuje Zenonowi Piłarczykowskiemu, Stefanowi i Janowi Rewersom z Suchego Lasu za pomoc w zbieraniu materiałów do powyższego artykułu.

*) Pisaliśmy już o tym w „Głosie” z 17/18 września 1967 r. w artykule Zenona Piłarczyka pt. „Poznańska — walka — walka Włodzimierza Gedymina”. Publikowaliśmy też w numerze z 30/31 lipca 1967 r. artykuł Witolda Francuzika pt. „Odetw z zestrzelonego Heinkla”, który dotyczył spraw, będących tematem niniejszej publikacji.

Eksplodzja entuzjazmu

Dokończenie ze str. 1

mi zrodził się szeroki ruch społeczny.

Nie ma w Zielonej Górze Wojewódzkiego Domu Kultury. Oczywiście nie chodzi o budynek, chociaż i on by się bardzo przydał, ale głównie o zespół ludzi. Funkcję zespołu zawodowego biorą więc na siebie działacze społeczni. Działacze społeczni wstępują do utworzonego niedawno Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry zamierzając inspirować budowę boisk i klubów młodzieżowych w osiedlach i ich samych na pewno przy pracy nie zabraknie. Działacze tu coś otworzyli, ówdzie

gromadzą środki. Wspomniany Witold Stadnik tak polubił swoje Lubniewice, że zaraził zapalem przyjeżdżających do tej miejscowości wczasowiczów. A zaraził tak silnie, że w kilku miastach zawiązały się towarzystwa przyjaciół Lubniewic. I to nie takie od wymiany pozdrowień — architekci warszawscy bezinteresownie opracowują dla Lubniewic dokumentację, katowiccy ZMS-owcy obiecują przyjechać i pomóc w realizacji projektu.

Zielonogórski patriotyzm lokalny uderza trzeźwością. Nikt nie mówi: żyć mogą tylko tu; nie wierzyłbym w taki sentyment; mówią: żyć mogą wszędzie w Polsce, ale tu mi dobrze, a kto wie, czy nie najlepiej.

przyszłość polskiej kinematografii. Widzi ją tak:

Każdy reżyser powinien być do kontraktowania przez każdy z zespołów. Na czele zaś zespołów powinni stać nie — jak dotychczas — reżyserzy, ale np. redaktorzy, pisarze, działacze społeczni — oczywiście jeśli ich autorytet i poziom wiedzy filmowej okaza się wystarczające. Przede wszystkim powinni to być ludzie o sprawdzonych życiowości wobec prac cudzych i jasnym rozeznanie — o co im w istocie chodzi w filmie. Zarazem przywrócić należy odpowiedzialność reżysera za dobry lub zły film, odpowiedzialność kierownika zespołu za zespół, odpowiedzialność administracji za całość kinematografii, wreszcie odpowiedzialność za polityczne i ideowe oblicze tak ważnego działu twórczości, jaką jest kinematografia, za jej kierunek, za jej perspektywę, za jej miejsce w naszym społeczeństwie.

KUPOWANIE KWALIFIKACJI

„Raz po raz ludzie zrzucają skórę. Czasem im w tym zabieg pomagamy żebymy nam było lepiej. Zawsze przecież lepiej wiedzieć, kto jest kto, jaki jest naprawdę. W tym społecznym procesie samoczystyzowania trzeba się spodziewać niespodzianek. Przyjacieli niekiedy przestaje być przyjaciółmi, rzekomy przeciwnik staje się sojusznikiem. Proces ten jest łatwy, nie odbywa się bezkolizyjnie. Niektórzy nawet bowiem mimo pomocy, nie chcą zdjąć maski, nie dopuszczają myśli, że ich rola skończona, nie dostrzegają kurtyny, a bez okłasków nie chcą opuścić sceny. Łatwo też komuś przypisać niezasłużoną etykietkę,

Zbrodnia ma na imię Stutthof

Dokończenie ze str. 1

i planach musiał wiedzieć gauleiter Albert Forster, zanim jeszcze inż. Hans Kammler, SS-Obergruppenführer opracował plany rozbudowy obozu, który miał służyć realizacji polityki hitlerowskiej w latach 1939—1945.

Stutthof był pierwszym hitlerowskim obozem zagłady, założonym na ziemiach polskich i początkowo przeznaczonym wyłącznie dla Polaków. Spośród około 1500 osób aresztowanych przez hitlerowców 1 września 1939 r. w Gdańsku, część najbardziej znanych działaczy polonii gdańskiej od razu rozstrzelano — zaś 250 osób, przez słynną katownię w Victoria Schule przewieziono do Stutthofu.

Wkrótce potem, po kilku miesiącach obozowych tortur, 22 marca 1940 roku, rozstrzelano 63 wybitnych Polaków. Zginął wtedy m. in. Antoni Lendzion — poseł do Volkstagu Wolnego Miasta Gdańska i przewodniczący Polskiego Zjednoczenia Zawodowego, Bernard Krawczyk — nauczyciel, działacz polonijny, uczestnik powstań śląskich i poseł do sejmiku śląskiego, Walenty Habandt — wybitny działacz Związku Towarzystw Młodzieży na Mazurach, Stefan Goldmann — prezes Rady Polskich Interesantów Portu Gdańskiego, Marian Górecki — prefekt szkoły polskiej w Gdańsku, Bronisław Komorowski — ksiądz rektor kościoła polskiego w gimnazjum polskim w Gdańsku, autor wielu prac o Gdańsku i literaturze kaszubskiej, Franciszek Rogaczewski — proboszcz jednej z parafii katolickich w Gdańsku, Gustaw Szarski — oficer rezerwy, inspektor Urzędu Celnego w Gdańsku, Stanisław Woyda — adwokat, działacz polonii westfalskiej, i wielu, wielu innych.

Zginąć, ale w walce

Spośród 120 tysięcy ludzi, którzy przeszli przez obóz w Stutthofie, ocalało nie więcej niż 40 tysięcy, reszta zaś zginęła — śmiercią głodową, na skutek chorób zakaźnych, rozstrzelań, egzekucji na szubienicach, w komorach gazowych i przy pomocy zastrzyków gazowych. Trzeba jednak podkreślić, że nie wszystkie ofiary ginęły biernie, zmaltretowane hitlerowską machiną terroru i zbrodni. Chociaż bowiem organizowanie oporu w obozach koncentracyjnych należało do najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych przedsięwzięć, jednakże w Stutthofie ruch oporu istniał i przynosił pewne rezultaty. Najpierw ruch oporu przejawiał się w zorganizowaniu małej komórki oficerskiej, na czele której stał początkowo, przez krótki czas, obecny wiceminister kultury sztuki Kazimierz Rusinek oraz kapitan Antoni Kasztelan (rozstrzelany w Królewcu w 1942 r.). Do komórki tej należeli również ppor. Franciszek Sokół, były komisarz rządu na miasto Gdynię, ppor. Tadeusz Piłzański i ppor. Władysław Jaworowski.

Działalność ruchu oporu zwiększyła się po przybyciu do Stutthofu większych grup Polaków, aresztowanych na Pomorzu, którzy pochodzili z takich organizacji, jak Gryf Pomorski, organizacje harcerskie, różnych grup Armii Krajowej oraz byłych więźniów politycznych. Później w r. 1944, trzonem organizacji stała się grupa przybyła z warszawskiego Pawiaka. Odrębną, aktywną komórkę utworzyli także komuniści polscy (Piotr Stolarek, Emanuel Trela, Witold Dryll, Tadeusz Majzner i Feliks Zimnoch). Istniała też niewielka, lecz solidarna grupa niemiecka z komunistą niemieckim Karlem Bulwinem (z Hamburga) oraz grupa duńska, której przewodził komunista Kaj Moltke.

W 1943 r. zorganizowała się radziecka grupa oporu, składająca się przeważnie z jeńców wojennych. Grupa ta dysponowała nawet zakonspirowanym aparatem radiowym (odbornikiem), przgotowywała ucieczki i przede wszystkim — podobnie jak inne grupy — prowadziła akcje sabotażowe w warsztatach obozowych pracujących dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy.

Grupa polska i radziecka szybko nawiązały ze sobą kontakt i współpracowały w różnych akcjach, planując także zbrojne powstanie i masową ucieczkę. Plan buntu nie miał jednak szans powodzenia. Był jednak wyrazem szacunku dla życia i międzynarodowej solidarności.

Pomnik w Stutthofie obok pomnika na Westerplatte świadczyć będzie o czynie narodu polskiego, który w walce poniósł straszliwe ofiary.

ADAM KRZEPKOWSKI

Zielona Góra otoczona podległymi jej administracyjnie miastami o podobnym potencjale ludnościowym i gospodarczym nie wyhodowała kom pleksów. Ambicje nie zamieniają się w ambicjki, nikt nie czuje potrzeby strojenia się w cudze piórka, tylko ludzie się zrymają, gdy ktoś przyjeżdża i dziwi się a raduje, że w Zielonej Górze chodzą w takich samych kapeluszach jak w Warszawie. A ni by w czym mają chodzić?

Dlatego przytoczyłem na początku obrazek z chłopcem i mleczmami, że wydał mi się on znajomy, metaforyczny. Zielonogórzanie starają się robić to, co i w reszcie kraju, w taki sposób, na jaki ich stać, a robią to z naturalnym wdziękiem i nie za wyżonym poczuciem własnej wartości ci.

WOJCIECH BURTOWY

SAME APELE NIE POMOGĄ

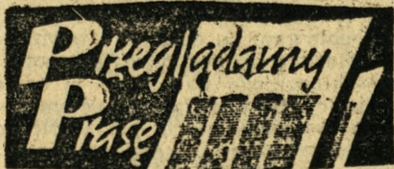
Na poprzedniej stronie piszemy o niezadowolającym składzie socjalnym studentów wyższych uczelni, co — jak stwierdza autor — jest m. in. skutkiem niekorzystnej sytuacji także w liceach. Te sprawy rozważa Krystyna Rogalska na łamach „Głosu Nauczycielskiego”.

Proponuje ona m. in. przebudowę programów nauczania w liceum w tym kierunku, żeby umożliwić wprowadzenie przynajmniej do dwóch ostatnich klas przysposobienia zawodowego, a w klasie pierwszej — wygospodarować czas na powtórzenie materiału szkoły podstawowej. Istotną kwestią jest zapewnienie liceom większej niż dotychczas liczby miejsc w internatach, dzięki czemu ten typ szkoły średniej stałby się bardziej dostępny dla młodzieży z małych ośrodków i ze wsi. Wreszcie dla uniknięcia przypadkowości przy egzaminach wstępnych, należałoby nadać odpowiednią i większą niż dotychczas rangę opinii szkoły podstawowej o jej absolwentach.

✱

„Tygodnik Kulturalny” drukuje relację z dyskusji w gronie kilkunastu pracowników naukowych, działaczy ZMW pt. „Kłopoty młodego naukowca”. „Współczesność” publikuje artykuł Jerzego Niecikowskiego o powieści politycznej, oparty o tworzywo ostatnich książek Putramenta, Koguta i Bratnego. „Życie Gospodarcze” przynosi artykuł Jana Sierżputowskiego pt. „Dolarowej alii ciąg dalszy — izraelska gra naftowa”.

LEKTOR



OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

W 25-lecie Ludowego Wojska Polskiego, w Święto Zwycięstwa, tygodnik „Walka Młodych” całe 16-stronicowe wydanie poświęca historii zwycięstw i tradycji polskiego żołnierza, jego dniu wczorajszemu — frontowemu i partyzanckiemu i jego dniu dzisiejszemu.

Pod hasłem „W hołdzie żołnierzom września, żołnierzom oddziałów partyzanckich, bohaterom spod Lenino, Fajale, Siekierki i Berlina, pamięci młodych Polaków walczących na wszystkich frontach II wojny światowej”, redakcja drukuje materiały przeważnie nigdzie dotychczas nie publikowane m. in. o ostatnim pilocie Rzeczypospolitej kpt. pilocie Edmundo Piorunkiewicz, fotoreportaż pt. „Na Berlin”, mapę udziału Polaków na frontach II wojny światowej.

SIĘGNIJMY GŁĘBIJ DO ŹRÓDEŁ

Pod tym tytułem Krzysztof Teodor Toeplitz publikuje w „Kulturze” arty-

kuł w związku z dyskusją o sprawach filmu polskiego. Zdaniem autora w obecnej sytuacji istnieje wreszcie szansa, aby o sprawach kinematografii nie tylko mówić, ale aby coś także zaliczyć. Dotychczas bowiem było tak:

„Film, jeśli tylko spełniał — lub nawet ledwo spełniał elementarne warunki warsztatowe, lecz w zamian za to przynosił możliwe maksimum bezproblemowości, albo oddalał nas w historię sprzed lat trzydziestu czy czterdziestu, albo wreszcie nawoływał do opieki nad dziećmi, zwierzętami lub do innych bezspornych gestów humanitarnych, miał absolutnie większe szanse aprobaty, niż film współczesny, problemowy, dyskusyjny, zaangażowany w toczącą się w naszym kraju walkę ideologiczną i polityczną. Idąc dalej po tej linii nie wyda się także niedorzecznym przypuszczenie, że również seria „gigantów” historycznych, przenosząca nas w daleką przeszłość, dająca na ekranie efekt, że „przecież coś się dzieje”, absorbująca wreszcie na tyle wytwórnie, aby nie odczuwały one braku innej pożytki dla produkcji, nie była przecież niczym innym, jak produktem klimatu, w którym należało coś mówić, możliwie nawet głośno, ale lepiej nie na temat”.

Ten nienormalny stan rzeczy wynika — zdaniem Toeplitza — m. in. z systemu organizacyjnego naszej kinematografii.

„Podstawowym brakiem naszych filmów — czytamy — nie są wcale braki reżyserskie. Są nim braki dramatyczne, pustka myślowa, braki literackie, braki ideowe”.

Toeplitz patrzy optymistycznie na